Nr. 22. Lwów, 16. listopada 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Słowo o jeleniach.

Jeleń dawniej rzadkość i zwierzyna stanów wyłącznie uprzywilejowanych, stał się dziś zwierzyną przystępną dla wszystkich prawie myśliwych, dzięki temu, że niesłychanie się rozmnożył, mimo kłusowników, ciężkich zim, mimo wilków. Jeleń góral, który jest w Karpatach, od Liska począwszy wzdłuż granicy węgierskiej, aż hen do Bukowiny, skąd coraz niżej się spuszcza, a już do sanockiego często zagląda, rozmnożył się tak nadzwyczajnie i w tak zadziwiająco szybkim czasie, że dziś Galicya cieszy się pięknym stanem tego wspaniałego zwierzęcia.

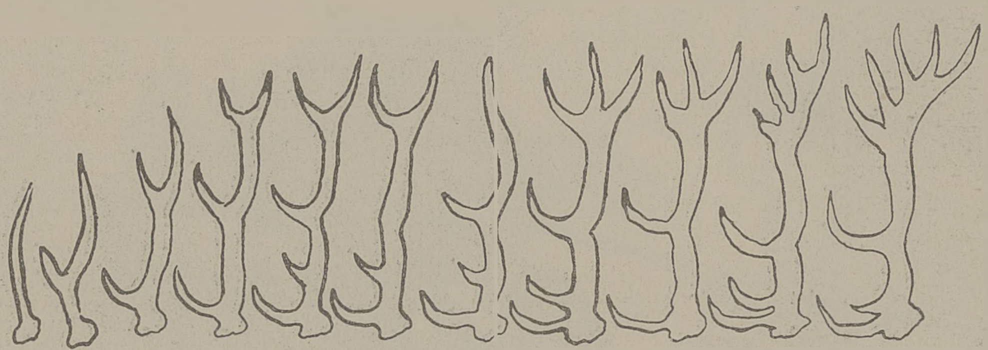
Jakość tego jelenia w ostatnich czasach zmieniła się stanowczo i to głównie co do wieńca. Czemu to zawdzięczamy, w tem sęk. Można przyjąć, że do tego przyczynia się bez wątpienia wielka ilość łań; byki młode ryczą i stanowią łanie, i to chłystki takie, jak szóstaczki i ósmaczki, które nie będąc jeszcze jeleniami łownymi, przyczyniają się do fabryki tuzinkowatej, ale nie może być inaczej, skoro byków grubych w stosunku do łań za mało po prostu. Byki te są przedewszystkiem przedmiotem polowania na rykowisku. Gdzie kto wie o grubym, to na niego poluje bez względu na to, że on właśnie w tym lub owym rewirze bardzo był potrzebny, konieczny według prawidłowej gospodarki myśliwskiej, a gdy polegnie, młodzieniec go zastąpi! Nie przeczę, że pasza i dobrobyt przyczynia się do produkcyi tęgich wieńców, ale jakość ich przedewszystkiem zależy od wieku byka. Jeleń i sarna, to bliscy krewni, tak samo tam, jak tu, im starszy, tem grubszy i lepsze ma rogi, historye wsteczników, to facecye! Wstecznik to rzadkość i to rzadkość wielka, bo prawdziwy jest

ten, który zgrzybiałym starcem, za słabym, aby dużo odnóg w wieńcu wypuścić, albo też wyjątkowo postrzelony, chory jeleń. Wszystkie nowoczesne wsteczniki, to zwyczajnie sztucznie naciągnięte. Jeleń jest po prostu młody, a myśliwi nasi rekordowi, chcąc go jakąś aureolą osłonić, nie mogąc go nazwać grubym, robią zeń wstecznika. Strzelając do jeleni na takie odległości, nie ma nic dziwnego, że liche jelenie strzelają; najlepsze szkło na ten dystans nie pozwoli ocenić rogala. Tylko ten wie, do czego strzela, kto podchodzi i blisko strzela. Tak samo jest z rogaczami; znam ludzi, którzy od czasu, jak strzelają przez lunetę, skarżą się na pech co do parostków. Zabijają masę rogaczy a wszystko liche, po prostu nie widzą, bo nie mogą widzieć, jaki ten rogacz jest. Wstecznik prawdziwy, jeżeli nie ilością odnóg, to grubością wieńca lub długością jego, a w każdym razie hakami zadokumentuje swój wiek poważny. Luneta z manlicherem ułatwiła znacznie polowanie na ryczącego jelenia i przyczyniła się również do tego, że jeleni grubych, starych coraz mniej, te zaś grube, które strzelamy, to nie stare; dziś nie mają one czasu się zestarzeć, nie dadzą im, nie doczekają. To jest główny powód, dlaczego jakość wieńców się psuje.

„Nie ma starych jeleni“. Jest na to jedna skuteczna rada, a to: 1⁰ znać stan, 2⁰ według niego zestawiać preliminarz co do ilości odstrzelania, 3⁰ odstrzelanie łań bardzo oględne i tylko młodych jałówek, regulacya zwierzostanu. Nareszcie co do wieńców jest to prawie śmieszne, ale prawdziwe, iż są ciągle jeszcze ludzie, którzy polują na jelenie i nie znając teoryi rozwijania wieńca, nie umieją ich nazywać. Z tego to powodu poruszam jeszcze raz tę kwestyę w „Łowcu“ i chcę przedstawić teoretycznie rozwój ozdoby tego najwspanialszego trofeum myśliwskiego, na podstawach praktycznych.

Pierwsze rogi jelenia, to krótkie szpice, które wyrastają już cielęciu w piątym miesiącu. Zrzucone w tym samym roku urodzenia, zastąpione są nowymi szpicami, długości od kilku do kilkunastu cm., które w lecie lub jesieni są wytarte i wtedy byczek ma rok, nazywa się zaś szpiczakiem (a).

Zrzuciwszy te rogi, dostaje nowe o odnodze ocznej, wyrastającej tuż nad różą i o szpicu, jest wtedy widłakiem (b), następnie jest szóstakiem (c), ma zaś odnogę oczną i tak zwaną średnią, a trzeci szpic. Po szóstaku jest



a b c d e e e f f g h

ósmakiem (d), przyczem ma odnogę oczną i średnią, a szpic dzieli się na dwie odnogi. Następny okres dziesiątaka wprowadza nowość, a mianowicie odnogę nadoczną, tak, że ma odnogę oczną, nadoczną i średnią, a szpic duże odnogi, razem pięć. Dziesiątakiem jest zawsze (e), gdy ma odnogę nadoczną, choćby w górze była jedna tylko odnoga. Dwunastak (f) ma odnogę oczną, nadoczną i średnią od dołu, u góry zaś kielich lub szuflę, tworzą trzy odnogi i teraz znowu z chwilą, gdy kielich ma trzy odnogi, jeleń bez względu na odnogi oczną, nadoczną i średnią jest dwunastakiem. Tak samo jest czternastakiem (g), gdy ma w kielichu odnogi cztery, szesnastakiem (h), gdy pięć, ośmnastakiem gdy sześć, dwudziestakiem, gdy siedm i t. d. A więc odnoga nadoczna, czy jest, czy jej nie ma, liczy się jeleniowi, począwszy od dwunastaka, dziesiątakowi tylko, gdy widoczna.

Odnóżki, wyrastające z odnogi ocznej, nadocznej i średniej, nie liczą się, zato w kielichu liczą się wszystkie i jedna z drugiej. Grubość i długość pni, niskie guzy o objętości dużej, odnoga nadoczna bliziutko ocznej u nasady, duże, czarne haki, to oznaki starości, nie ilość odnóg. Choć nie ma reguły bez wyjątku, a wieńce jeleni różne niespodzianki i figle płatają teoryi n. p. Ósmak będzie znacznie dłuższy i grubszy od szesnastaka i taki ósmak, to z pewnością wstecznik.

A. hr. Sumiński.

Lis i gęś.

Opowiedział

Stary Sonntagsjäger.

— Cóż to cię tak rano sprowadza Moszku? — posłyszałem pytający głos ojca z pierwszego pokoju.

— A cóżby? Nieszczęście, proszę welmożnegi pana. Bidnemu zawsze wiater w oczy!

— Jakie nieszczęście? Gadaj!

— Ot jakie. Moi żone miało kilkinaście gęszi, byli dwanaście a dziś jest tylki dziewięć!...

— A gdzież się reszta podziała? — pyta ojciec.

— Gdzie si miała podziać. Welmożni pan ma uf lesi taki Füchs, co wun psichodzi u w nocy i zabierze gęszi!... — wykrztusił zapytany płaczliwym głosem.

— Czemużeś mi dawniej tego nie powiedział, zaraz, jak ci pierwszą gęś ukradł?

— Ja nie śmiał, zreszty, ja sobi miszlał, co wun bedzi miał dosić te jedne gęsz? Ale teraz, kiedy ja widzi, że un chce wszistki zachapić, to przychodził prosić welmożnegi pana, coby jego — szlag soł yn treffen — kazał pobereżniki zlapić. Ja jemu dam, temu pobereżniki — dodał — kwarte okowitki.

— Idżże do domu, mój Moszku, a ja każę lisa zastrzelić.

Wszedłem właśnie do pierwszego pokoju i zajrzałem jeszcze Moszka, jak zdjąwszy jarmułkę, ukłonił się nią do samej ziemi i znikł za drzwiami.

— Słyszałeś, co mówił? zwrócił się ojciec do mnie, możesz mieć zabawkę, jeżeli zechcesz część nocy poświęcić.

— Poświęcę chętnie, byleby tylko zasiadka się udała.

— Uda się — rzecze ojciec — lis, skoro się znęcił, przyjdzie, jak nie dziś, to jutro z pewnością.

Po chwili wszedł do pokoju stryj, równie jak ojciec stary i znakomity myśliwy i zaczęło się opowiadanie o sztuczkach i zmyślności lisa.

Opowiedział więc ojciec, jak to pewnego razu lis zastrzelony, uciekł pobereżnikowi z pod rąk i to w chwili, gdy mu tenże w celu ściągnięcia skórki, przeciął skórę na tylnej nodze od pazurów do kolana.

Opowiedział stryj inny wypadek, jak to lis, leżący między zającami i kozłami na saniach, ukąsił siedzącego przypadkiem na łapie jego chłopa, który wiózł z lasu ubitą na polowaniu zwierzynę, niebezpiecznie w udo, a gdy chłop z bolu się poruszył, zeskoczył mykita ze sani i przepadł na dzisiejszy dzień!

Innym razem znowu niósł chłop zastrzelonego lisa, przewieszogo przez plecy na sznurku. W drodze lis zaczyna się ruszać, nareszcie wpija się zębami w chłopską część ciała, podczas siedzenia stykającą się z ławką. Chłop puszcza sznurek i lis w podskokach ginie w krzakach.

W toku tego opowiadania pouczali mię ci dwaj weterani w sztuce myśliwskiej o zachowaniu się na zasiadce na lisa. W obecnym wypadku znajomość tych reguł była zbyteczną, gdyż wedle instrukcyi ojca miałem czatować na mykitę na brogu siana, w pobliżu kurnika stojącym.

Zaznajomię cię, łaskawy czytelniku, z właścicielem zagrożonych gęsi. Nazywał się on Mojżesz Grünfeld i był dzierzawcą prawa propinacyi we wsi M., w której ojciec mieszkał. Był to mężczyzna średniego wzrostu, w wieku okołu 40 lat, z czarnym zarostem, o niebieskich oczach, nader sympatyczny, a co do charakteru wyjątek od reguły:

Was der Jude glaubt, ist einerlei,
In der Rasse liegt die Schweinerei.

Wioska M., była to mała, podgórska wiosczyna, o kilkuset zaledwie mieszkańcach, którzy w dodatku nie wiele wódki pili, raz dla tego, że nie było za co, a powtóre, że pamiętali nauki zacnego proboszcza swego, ś. p. M., który za pijaństwo jak najsroższe kary na tamtym świecie obiecywał. Za każdy, nad miarę wypity kieliszek wódki — nauczał z ambony, — wleją ci dyabły w piekle w paszczekę całą kwartę okowity z żarzącymi węglami. W zapale oratorskim zapominał poczciwina, że węgle zgasłyby w wódce!...

W takich warunkach Moszko był biedny, jak mysz kościelna a dla mającego 8 bachorów, dwanaście gęsi był prawdziwy majątek.

Karczma w M. stała przy samym gościńcu, a za nią w oddaleniu, nie więcej jak 20 kroków, poczynał się las, porastający amfiteatralnie wznoszącą się zbocz. Między karczmą a pierwszemi drzewami lasu stał bróg, w czasie tego opowiadania do wysokości około 4 metrów napełniony sianem. Do brogu tego, którego parter stanowiła stajenka, oparty był od strony lasu kurnik, z gałęzi jodłowych, pozostałości kuczki, nędznie sklecony.

Było to w grudniu. Skończyłem wtedy 17 lat i przyjechałem do domu na święta Bożego Narodzenia. Strzelba miała dla mnie od najmłodszych lat niezwykły urok a polowanie uważałem za najszlachetniejsze zajęcie. Jedynem marzeniem mojem były wyprawy myśliwskie na drapieżne zwierzęta, o których tyle się naczytałem. Nie potrzebuję więc opisywać, jak byłem wdzięczny naprzód Moszkowi za to, że miał gęsi, że mieszkał pod lasem i że miał taki nędzny kurnik, do którego lisiura mógł się dostać a następnie ojcu, za jego pozwolenie na zasiadkę.

W krytycznym dniu już przed południem wyczyściłem należycie strzelbę zewnątrz i wewnątrz, nabiłem ją ściśle wedle wskazówek ojca i wyczekiwałem niecierpliwie podania obiadu.

Nareszcie o godzinie drugiej po południu, byłem już w pochodzie. W przekonaniu o ważności misyi przypadłej mi w udziale, maszerowałem naprzód z głową dumnie w górę podniesioną. Za mną podążał parobek, dźwigający baranicę i papucze. Pogoda była, mrozik jak to mówią kawalerski, ziemia pokryta śniegiem, przed dwoma dniami obficie spadłym. Posuwaliśmy się raźno, gdyż od nas do karczmy były prawie dwa kilometry. Wstąpiliśmy do karczmy, ażeby się dowiedzieć bliższych szczegółów, mianowicie, skąd przychodzi lis, o jakiej porze i t. p. Moszko przyjął mię z wszelkimi honorami, jakie się należą rycerzowi, zbawcy niewinnie uciśnionych. Postawił przedemną flaszeczkę wódki szabasowej, jak mówił, i kilka kruchych placków, które ja, nawiasem mówiąc, bardzo lubiałem. Wódki nie ruszałem, gdyż nie znałem wówczas jeszcze jej smaku; zato placuszków zjadłem aż trzy, co Moszka, a szczególnie śliczną jego córkę około 14 lat liczącą Ryfcię w prawdziwy wprowadziło zachwyt. Tę Ryfcię znałem już, spotykaliśmy się bowiem często w czasie wakacyi w lesie na malinach, orzechach i grzybach i odbywaliśmy wspólne wycieczki a lubiłem ją dla jej dobroci, łagodności i niezwykłej, jak na pół dzikie żydówczę, inteligencyi.

Ogrzawszy się należycie w ciepłej izbie karczemnej, wydostałem się za pomocą dostarczonej przez Moszka, starej i trzeszczącej drabiny na bróg, wciągnąłem za sobą podaną mi przez parobka baranicę i papucze a wdziawszy te ostatnie na nogi i wlazłszy do połowy pod baranicę, zwrócony twarzą ku lasowi, z którego na wprost mnie prowadziła z góry ścieżyna, wyczekiwałem pojawienia się gęsiego złodzieja. Siedzę godzinę, słyszę jak w karczmie bije zegar piątą, ale lisa jak niema, tak niema. Siedzę dalej. Bije szósta... siódma,.... zaczynam uczuwać chł ósma,... dziewiąta,... zbiera się na sen, który z wysiłkiem odpędzam z powiek. Zimno w uszy, a jeszcze więcej w ręce. Nareszcie zaczyna drętwieć bok, na którym leżę, a obawiam się ruszyć, gdyż na dworze widać się od księżyca, jak w dzień; zresztą pamiętam przestrogi ojca i stryja, że najnieznaczniejszy ruch zepsuć może wszystko. Cisza grobowa dokoła, przerywana jedynie szelestem i piskiem myszy, biegających po sianie i pianiem koguta w niedalekiej wiosce. Martwe światło księżyca zaczyna razić wzrok. Przywidują mi się w lesie w cieniu drzew, rzucających dziwaczne cienie, rozmaitych kształtów potwory... Wtem... jakiś ruch niezwykły dochodzi do mnie z dołu,... szum,

niby szelest... trwa to zaledwie parę sekund a potem straszliwy krzyk gęsi pod brogiem... Zrozumiałem, co to znaczy!... chwytam leżącą przy mnie strzelbę i rozglądam się, wystawiając jak mogę, najdalej z pod brogu głowę. Widzę na owej, z lasu wiodącej ścieżynce poruszający się szybko naprzód cień... aha! złodzieju! pomyślałem... składam się i daję ognia... Jeszcze nie przebrzmiał odgłos mego strzału w ciszy nocnej, a już w karczmie wszczął się ruch i krzyk. Wypadł naprzód Moszko a za nim parobek.

— Jest? — pyta zaspany Moszko. — Ale to panicz głośno wiszczelił, moje bachory aż si nastraszili...

— Nie wiem, czy jest — odpowiadam, złażąc z brogu, — trzeba popatrzeć.

Idę na miejsce strzału, obfita farba i... pierze!... Posuwam się za tropem, który po kilkunastu krokach zboczył ze ścieżki w las i widzę pod krzakiem jakiś przedmiot w oddaleniu 10—15 kroków, leżący na śniegu... Podchodzę bliżej... schylam się i... widzę gęś leżącą bez życia na białem, jak ona sama, posłaniu ze śniegu!... Nie tracę jednak wcale fantazyi i zwracając się do stojącego o parę kroków za mną Moszka, tłumaczę mu, że lis jest mocno postrzelony, czego najlepszym dowodem, że gęś zostawił i że go jutro przy pomocy psa się znajdzie. Podjął Moszko gęś i wróciliśmy do karczmy. Na widok nieżywej gęsi bachory i Moszkowa w krzyk!... A gdzież ten Füchs — pyta się Moszkowa, zwracając się do męża.

— Füchs? odpowiada tenże, Füchs oho!... i pokazuje ręką w kierunku lasu...

Tymczasem bachory z matką pochwyciły gęś i ta ostatnia przy pomocy Ryfci, zaczęła szukać na ciele gęsi śladów zębów lisa.

— Aj waj mir! — krzyknie raptem ogromnym głosem Moszkowa, — a szainer Füchs!... kik Mojsze! kik!... niech si panicze popatrzy, czy to Füchs? cały bok od gęszi niebieski, a taki, jakby kto prosa nasypał i powbijał jego w skóre!...

Wszelkie perswazye z mojej strony, że gęś była już nie żywą, kiedy ją lis ciągnął do lasu, nic nie pomogły i Moszko, żegnając mię, już mniej uniżenie, aniżeli witał, wykrztusił nieśmiało.

— Niech już welmożny panicz ni fatyguji si przez tego gałgana, niech wun zdychnie swoi śmierci!...

Rzuciłem mu wzrok pełen pogardy i zabrałem się z powrotem.

Nazajutrz relacya moja o wyprawie wywołała na usta ojca i stryja nieznaczny uśmiech, który ja jednak dobrze zauważyłem, poprzysięgając w duszy lisiemu rodowi zagładę i śmierć ogniem i mieczem.

Poszukiwania za mykitą przy pomocy psów, pozostały bez skutku.

Pisałem w Kosowie, w październiku 1904.



„Astur-Palumbarius“

przez ARTURA SLASKIEGO.

I.

Najstraszniejszym rabusiem z pomiędzy naszych skrzydlatych drapieżników jest bezsprzecznie: Jastrząb gołębiarz, Hühner-Habicht, Astur-Palumbarius!

Wierzchnia część głowy, skrzydeł, grzbiet i ogon umalowane są brudno, szarym kolorem, jak jesienne obłoki. Cały spód, począwszy od górnej połowy haczykowatego, zaopatrzonego nieznacznym zębem dzióba, — tak skrzydła, jak i pierś cała — upstrzone są w poprzeczne prążki, tego samego koloru, co wierzchnia część upierzenia. Ogon jest spodem trochę jaśniejszy od wierzchu i zaopatrzony poprzecznymi, z ciemniejszym odcieniem, pasami.

Tło, na którem gęste prążki symetrycznie, w poprzek piersi, układają się — jest o wiele jaśniejszem od grzbietu. Można by je przyrównać do koloru rannej mgły, opadającej na pola i łąki.

Nogi wysokie, koloru żółtego, upierzone po kolana, robią podobnym Palumbariusa do chłopca w krótkich majtkach. Palce u nóg zaopatrzone są w ostre, jak igły, szpony, z których pierwsze od środka i tylne są najdłuższe.

Tymi szponami zwykł zawsze Palumbarius zahaczać swe ofiary.

Wszystkie palce przychodzi mu z łatwością ściągnąć w piąstkę, tak, że szponów prawie nie widać. Głowa, widziana z góry, podobna do kwadratu, z boku zaś przyglądającemu się, przedstawia się dość foremnie. W równej objętości jak kark, szyja zwęża się od uszu, w łagodnych liniach ku dzióbowi.

Z pod wystających z głowy, zawsze chmurnie nasrożonych brwi, ukazuje się to straszne oko, koloru żółtka, o źrenicy czarnej, wielkości grochu. Tem okiem hypnotyzuje Palumbarius swe ofiary i oko to nie zawodzi go nigdy.

Samiec jest znacznie mniejszy od samicy i dlatego jest więcej niebezpieczny, albowiem tem samem jest sprawniejszy.

Samica z początkiem maja składa do 4 jaj, z których gdy wyklują się młode, bywa zwykle dwoje wyrzuconych z gniazda, a parka pozostawiona. Rodzice, wiedzeni instynktem, pojmują doskonale, że przy żarłoczności własnej i dzieci, nie byliby w stanie wykarmić tak licznego rodzeństwa.

Upierzenie młodych „gołębiarzy“ tem się różni od starych, że spód nie jest poprzecznie prążkowany, lecz centkowany podłużnie, na tle koloru miedzianego, z podkładem jasno popielatym. Upierzenie to zmienia się dopiero na właściwe w czwartym roku.

II.

Jesienią, w dzień pochmurny, o! bo Palumbarius słońca nie znosi, siedzi na wysokiej, o uschniętym wierzchołku jodle i kontroluje okolice...

Głowę wcisnął poniżej grzbietu, przygarbił się, ogon opuścił prostopadle i jedną nogę ukrył w upierzeniu, pod klatką piersiową.

Siedzi tak na jednej nodze, bez poruszenia, w zamyśleniu, jakby o Bożym świecie nie wiedział. W takiej pozycyi wydaje się nadzwyczaj skromny i niewinny.

A jednak przy takiej dobrodusznej medytacyi to straszne oko ani na sekundę nie spocznie...

W jednej chwili zwrócił głowę z ukosa na bok i jął coś uporczywie śledzić... W tym samym czasie w miasteczku, oddalonem o kilka kilometrów, krążyły około swego domostwa gołębie.

Palumbarius zerwał się nagle, lecz nie zdąża odrazu do celu swych obwerwacyj. Począł zataczać koła, zrazu większe, potem mniejsze i ciągle wznosił się coraz wyżej, wyżej, aż wreszcie zniknął w obłokach...

W rzeczonem miasteczku, na wysokiej wieży kościelnej, na krzyżu, siedziała wrona. Raptem wyciągnęła szyję, głowę przykrzywiła i wzrok swój utkwiła w jakiś daleki punkcik, ukryty w chmurach, jej tylko dostrzegalny. Nagle zleciała z krzyża przestraszona — a donośne kraa! jak echo rozległo się nad miasteczkiem. Jakby na komendę, wszystkie wrony, szukające dotąd swobodnie przysmaków po śmietnikach żydowskich — zawtórowały chórem: kraa! kraa! i gwałtownie poruszając skrzydłami, poczęły się wznosić w górę.

Powstał obecnie taki chaos nad miastem, takie krakanie, że zamięszanie to wyglądało zupełnie, jakby ktoś alarmował pożar. W rzeczywistości tak też dzieje się. Gdy w małem miasteczku wybuchnie pożar, przy silnym wietrze — ludzie nie mając pod ręką wody i przyrządów do gaszenia ognia — tracą głowę, biegają na wszystkie strony, wykrzykują! a o właściwym ratunku nie myślą...

Palumbarius obrał już kierunek i leciał wprost na miasto...

Zrazu falował szybciej skrzydłami, potem ruch ten stawał się powolniejszym, skrzydła malały, aż wreszcie zwinął żagle zupełnie i już nie leciał, ale spadał jak kula...

Krakanie wron poczęło się wzmagać, zamięszanie rosło, niektóre śmielsze wrony uderzały nawet na niego, lecz Palumbarius kpił z tego krzyku, z tych napaści, bo wiedział, że w takim zgiełku, łacniej pochwyci zdobycz...

Wszelkie skrzydlate stworzenia, niezdolne do walki, gdy usłyszały co się święci, chowały się co tchu, gdzie tylko odpowiednią skrytkę znalazły. — O! bo świat ten rozumie się doskonale między sobą.

A więc przedewszystkiem: kury, kurczęta, kaczki, uciekały bez pamięci, pomagając sobie skrzydłami do tej ucieczki.

Wróble już dawno pochowały się pod strzechy, a tylko jeden! z czarnym gardziołkiem, stary wyga! z pod rynny piętrowego domu, zaglądał ciekawie, jaki to będzie koniec tego wszystkiego?

Część z tych gołębi, które dotąd swobodnie krążyły poczęły obecnie, jeden za drugim, wpadać do gołębnika. Mniej doświadczone latały dalej, lecz gdy się zoryentowały, jakie im grozi niebezpieczeństwo, szybko wzniosły się w górę i w chwilkę wyglądały już, jak punkciki. To je uratowało!

Lecz jeden młody, głupi gołąb, który dotąd może nie słyszał jeszcze tego złowrogiego krakania, odłączył się od reszty towarzystwa i krążył sam około gołębnika.

Dziwił go wprawdzie ten rozgardyasz w mieście, jednak, zanim mógł się rozpatrzyć w tem zamięszaniu, — coś nieokreślonego, przerażającego, jak płachtą go nakryło, aż się pióra posypały. W jednej chwili uczuł też piekący ból w skrzydłach i krzyżu.

Krakanie znowu wzrosło! wrony poczęły teraz śmielej i więcej natarczywie uderzać na jastrzębia; ale on! ignorował te napaści, uchylał się zgrabnie i leciał powoli, przykrywając rozpostartym ogonem ofiarę; zupełnie jak złodziej chowa skradziony przedmiot pod surdut.

Najbliższem, zadrzewionem miejscem, był cmentarz żydowski, okopisko! Tutaj zmierzał też Palumbarius i wkrótce zapadł między lipami.

Wrony odprowadziły go na miejsce, obsiadły wszystkie drzewa, krakały ciągle, a starsze uderzały nawet od czasu do czasu na zbrodniarza.

Ten usiadłszy na ziemi, pochwycił w szpony pewniej swą zdobycz i jął się rozglądać dokoła, azali może bezpiecznie dokończyć rozpoczętego dzieła.

Gołąb dopiero teraz rozpoznał grozę położenia. Dobył ostatka sił, poruszył się gwałtownie, ale gdy uczuł jeszcze większy ból w krzyżu, zaprzestał próby uwolnienia się.

Siedział jak przygwoździony do ziemi, bez najmniejszego ruchu, serce mu tylko nieustannie biło, gdyż już nad sobą ujrzał ten straszny, ponury, a nieubłagany wzrok!

Palumbarius głodny, jak zawsze, upewniwszy się, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, jął oskubywać szyję gołębia koło główki. Gdy przy tej czynności naddarł trochę skorki i krew zobaczył, haczykowatym dzióbem, jak nożyczkami, odciął główkę i życie z gołębia uleciało...

Teraz dopiero jął chciwie spijać ciekącą krew ze szyi, jak tygrys, gdy kły swe zatopi w gardle antylopy.

Wreszcie krew przestała się sączyć, a siemieniowaty rabuś przystąpił do gruntownego oskubywania, już martwych zwłok gołębia.

Czynił to z taką wprawą, że żaden najzwinniejszy kucharz, nie dorównałby mu w tym względzie.

Powoli krakanie ucichło, wrony rozleciały się z powrotem na żydowskie śmietniki, a Palumbarius! spokojny, tryumfujący, oddzierał mięso od kości, dławił się, a połykał największe kawały.

Gdy uczty dokończył, wyniósł się chyłkiem, niepostrzeżony do lasu, usiadł w pośrodku jodły i jął odbywać drzemkę. — Palumbarius bardzo lubi drzemać, po sutej libacyi. (Dok. nast.)

Z obcych światów.

Łowy z lampartami.

Tresura dzikiego zwierzęcia. — Łowy z lampartami wedle starych malowideł ściennych. — Zadziwiająca chyżość, lecz brak wytrwałości u lamparta. — Lampart, to śpioch, — ująć go łatwo. — Powijanie lamparta. — Wymagane przymioty. — Niepokojenie w czasie snu. — Rozpowinięcie a spętanie lamparta. — Koń manekin. — Skoki lamparta na konia i skoki na ziemię; wyuczenie pamiętania wyrazu, zastępującego nazwę. — Ćwiczenia na żywym koniu; przyzwyczajanie lamparta do konia. — Ćwiczenia przed publicznością i na targowiskach. — Kawał czerwonej materyi. — Stanowcza próba. — Konkluzya.

Laicy nie mają o tem wyobrażenia, lecz myśliwi prawdziwi wiedzą, że potrzeba zimnej krwi, bystrości umysłu a przedewszystkiem cierpliwości do uzyskania z domowego zwierzęcia n. p. z psa, dobrego pomocnika. Zupełnie odrębną rzeczą jest zniewolenie do świadczenia usług i tresura dzikich zwierząt.

Już sokolnik arabski rozwija zasoby cierpliwości i obserwacyi: lecz one niczem w porównaniu z tem, czego wymaga kompletne wyuczenie lamparta. Europejczycy, którzy

przed wyprawami krzyżowemi lub po nich przebiegli Azyę i Europę, zostali do tego stopnia olśnieni pięknością i malowniczością łowów na lamparty, że wrażenia ich wycisnęły się na licznych malowidłach ściennych wieków średnich. Łowy te kultywowano i kultywuje się jeszcze w Afryce, od Sahary do przylądka, gdzie znachodzą się lamparty i gazele.

Lampart przedstawia w Afryce wielką rozmaitość gatunków. Lampart jest felidem, mającym wszystkie znamiona kota, lecz brak mu rysu zasadniczego: ściągalności pazurów.

Wobec tego jest on raczej ogniwem przechodniem od felidów do canidów. Chód jego jest elegancki, nogi ma wysokie, jak chart; jego płowa, czarno centkowana sukienka robi go podobnym do pantery, lecz nie osiąga on wysokości tamtej. Szybkość jego biegu jest zadziwiająca, lecz brak mu wytrwałości.

Jest leniwcem, niedołęgą, śpiochem a zwłaszcza nie daje się powodować. Bieg jego tak szybki, że przyprawia widza o zawrót głowy, nie przeciąga się jednak nigdy, poza kilometr. Ścigany przez jeźdźców, strwożony cwałowaniem koni, dziki lampart zatrzymuje się, przywarowuje i pozwala się ująć, po biegu mniej więcej pięćsetmetrowym. Usposobienie lamparta jest łagodne. Tresura lamparta, jakkolwiek nadzwyczaj skomplikowana, nie jest zupełnie trudna. Sułtanowie azyatyccy i władcy w Afryce są łakotnisiami na punkcie tego wielkiego, pustynnego sportu.

Chwytanie tego, bezbronnego zwierzęcia, jest bardzo łatwe. Zarzuca się nań burnus, lub płaszcz i zwierzę jest ujęte.

Lampart jest takim śpiochem, że Arabowie mówią „spać jak lampart“ podobnie, jak my się wyrażamy „spać jak bobak, lub suseł“. Z pomiędzy tych zwierząt tresuje się tylko te, które posiadają pewne warunki. Bierze się zwierzęta w wieku od trzech do pięciu lat; płeć jest obojętna; zwierzę winno mieć szerokie szczęki i rozdęte nozdrza.

Głowa musi być silna, silna i długa szyja, grzbiet mocno osadzony, ogon długi i delikatny, ostre pazury, przód mocny, barki szerokie, głęboka pierś, korpus wydłużony i na tem się ograniczam, jakkolwiek autor arabski rozpływa się w wyliczaniu przymiotów, wymaganych od zwierzęcia, godnego tresury. Schwytane zwierzę, zawinięte w burnus lub płaszcz, powija się natychmiast tak jak noworodka. Nawet na głowę wdziewa się kaptur.

Pośród tej nieruchomości i prowizorycznej ślepoty poczyna się ułaskawianie. Jeżeli zwierz jest zaciekłym śpiochem, zaczyna się ułaskawienie pozbawianiem snu.

Służący mieniają się, co dwie godziny, przerywając mu sen i powtarzając bez ustanku ten sam wyraz, mający stanowić dla lamparta nazwę. Tortury te trwają, trzy do czterech dni. Gdy zwierzę pozna swą nazwę, zaczyna się tresura z misą... zawsze tą samą, w której jest kilka kawałków mięsa.

Ujrzawszy światło, wygłodzony lampart chwyta kawał mięsa. Tresujący usuwa wtedy misę i wykrzykuje wyraz zupełnie inny od nazwy.

Nowy ten wyraz jest hasłem do karmy i powtarza się zawsze przy podawaniu lampartowi misy z mięsem. Najpóźniej w cztery dni rozróżni tresowany lampart oba wyrazy: nazwę i wezwanie do karmy.

Gdyśmy doszli do tego wyniku, pierwsza faza tresury, faza nieruchomości, jest ukończona.

Pacyenta rozpowija się, natomiast pęta mu się wszystkie nogi. Wówczas pozwala mu się przespać noc, podczas której śpi głęboko. W ten sposób już się ułaskawił i zachowuje się przyjaźnie wobec tresującego.

Wtedy sporządza się w ubikacyi, w której lampart przebywa, manekin w formie konia, którego zad przykrywa się derą. Lamparta umieszcza się przed tym fingowanym zadem a przednie jego łapy opiera się o zad. Następnie, by mu wskazać ruch wstępujący, należy łagodnie podnieść go z tyłu.

Pozbawianiem snu i odjęciem pożywienia wpaja się przekonanie w oporne zwierzęta, że wszelki opór na nic się nie zda.

Wkrótce lampart wstępuje na zad manekina, gdzie widział obiecującą misę z mięsem.

Je i usypia; lecz nie na długo, gdyż prawie natychmiast każą mu zstąpić na ziemię. Okrzyki, nazwy i karmy, dają się słyszeć i lampart widzi znowu misę z mięsem na manekinie.

W ten sposób przyzwyczaja się lampart, powtarzając ciągle to samo, wskakiwać na manekin, gdzie spodziewa się na pewne zastać żywność i zażyć snu, z którego atoli nie korzysta. Gdy już dobrze siedzi na manekinie, należy go przyuczyć, by zeń zstępował i napowrót wstępował.

W tym celu zdejmuje się misę i podsuwa mu ją pod nos w ten sposób jednak, by dla dostania mięsa, musiał wyciągnąć jedną łapę. Zdejmując misę, zmusza się go do zeskoczenia na ziemię i do ponownego wstąpienia, jeżeli chce dostać się do mięsa.

Po tem ćwiczeniu, godzina snu. Po kilku dniach, w których pieści się go, powtarzając ciągle wspomnione wyżej dwa wyrazy, lampart jest przygotowany do ćwiczeń na żywym koniu.

To już inna sprawa i trzeba przyzwyczaić lamparta do konia, lub muła, na którego wstępuje. Aby ułatwić wstąpienie na zad nieco wyżej, ustawia się obok konia stopień. Aby dostać się do mięsa, musi obecnie wskoczyć na zad.

Tym razem daje się mu całą porcyę mięsa i pozwala przespać na krzyżach godzinę.

To ćwiczenie powtarza się trzy razy dziennie, podczas trzech do czterech dni.

Potem tresujący dosiada konia i umieszcza lamparta na zadzie, przytrzymując go za ogon.

Następnie wykonywa tresujący kilka poruszeń, wśród których pieści lamparta, by go przyzwyczaić do zmiany zajętego przezeń miejsca.

Kilka dni później wprawia się w ruch konia i karmi lamparta, umieszczonego na zadzie. Później przechodzi się ze stępa do szybszego biegu, karmiąc podczas tego lamparta i pozwalając mu także spać. Dochodzi się do tego, iż lampart zupełnie ułaskawiony, jak tylko zobaczy konia, sam nań wyskakuje.

A czyni to z takiem przejęciem, że trzeba używać siły, aby go spędzić z zadu, na którym się zainstalował.

Dotychczas tresujący przebywał, sam na sam ze swym wychowankiem. Obecnie chodzi o to, by ćwiczenia powtórzyć w obecności więcej osób, umieszcza go się zatem na ziemi i urządza się przed nim defiladę z męczyzn, kobiet, dzieci, psów, kotów, osłów, by go przyzwyczaić do widzów. I to jeszcze nie wystarcza.

Tresujący prowadzi go, bądź siedzącego na zadzie konia, bądź na rzemieniu, po targowiskach, pośród pieszych i jeźdźców, ciągle powtarzając oba hasła.

Jeżeli lampart znajdzie się na polu, hasła te będą tem więcej potrzebne i wtedy poczyna się nowa faza tresury.

Potrzeba, by lampart, choćby oddzielony od swego pana wskutek konfiguracyi terenu, lub przez drzewa, mógł się zoryentować i napowrót z nim złączyć.

Gdy powróci, tresujący umieszcza na ziemi kawał czerwonego sukna, szerokości 1 metra, długości 2 metrów, ku któremu biegnie sam krzycząc.

Lampart, napotkawszy czerwone sukno, jest nadzwyczaj zadowolony. Ćwiczenie to powtarza się aż do skutku. Jeżeli lampart znajduje się trochę dalej, tresujący wywija czerwoną materyą w powietrzu, zupełnie tak samo, jak sokolnik przynętą. Lampart przypomina sobie dobrą ucztę, spożytą na szkarłatnej materyi i przyśpiesza biegu.

Aby się dowiedzieć, czy lampart nie zamierza umknąć, tresujący umieszcza go na krzyżach konia i wiezie w miejsce samotne, włożywszy nań poprzednio obrożę o długim rzemieniu. Lamparta umieszcza na ziemi a konia wprawia w bieg. Jeżeli lampart sam wskoczy na konia, zadanie jest rozwiązane. Jeżeli usiłuje wymknąć się, odjęcie pożywienia i pozbawienie snu przyprowadza go do posłuchu.

Z tak tresowanym lampartem może myśliwy mieć jednego dnia tuzin gazel na rozkładzie.

Autor arabskiego dzieła, z którego powziąłem metodę tresury, utrzymuje nawet, że gdy lampart jest pierwszego rzędu, rozkład może sięgać nad 20 sztuk.

Tresura lamparta jest jednym przykładem więcej, że wszystko to, co się styka ze sportem cynegetycznym, wymaga wytrwałości, cierpliwości, subtelnej obserwacyi, bystrości umysłu, obeznania z przyrodą i doświadczenia, bez względu na to, czy łowy odbywają się z chartami, na podchodne, czy też na zasiadce, i że pomocnicy muszą być wprawieni, a wybór broni, środków i przyrządów racyonalny.

Łowy, pojęte w tak wzniosłem znaczeniu — stają się sztuką. *Ch. J.*

Jeleń Tomlinsona.

HUMORESKA.

(Z angielskiego).

Tomlinson był jednym z najbardziej entuzyastycznych myśliwych na jelenie. Nic, co choćby w najszerszem pojęciu miało związek z płową zwierzyną i jej drogami, nie było mu nieznanem; wszystkie łowieckie terminy miał w małym palcu. Na punkcie wieku płowej zwierzyny był powagą.

Mógł wytłómaczyć, dlaczego niektóre jelenie mają rogi chropowate a inne gładkie, a różnicę w ich ubarwieniu mógł stanowczo oznaczyć.

Tak samo ze wzmianki o kolorze sukni, mógł rozstrzygać, czy byk jest tłusty, czy też wychudzony. W rzeczywistości, najbardziej wątpliwe i zawiłe kwestye z historyi naturalnej tych zwierząt, nie przedstawiały dlań najmniejszej trudnosci.

Możnaby wnosić, że tak wielka powaga zdobyła ogromne zasoby wiedzy przez ścisłe i bezpośrednie badanie zwyczajów jeleniego rodu. Tak jednak nie było. Przez całe życie Tomlinson nie widział jelenia w jego rodzimych pieleszach. Cała jego wiedza pochodziła z książek. A nie wpłynął na to bynajmniej brak gorliwości. Faktem jest, że nie miał do polowania ani czasu, ani środków. Jego wuj, kawaler, jeden z wielkich bawełnianych królów, miał prawie bajeczny majątek, a jego wyłącznym i całym celem życia było, zwiększyć jeszcze swe dochody. Od niego zależało utrzymanie Tomlinsona, który z tego korzystał.

Od wczesnego ranka do mglistego wieczora, pracował w kolosalnym kantorze starego gentlemana z niewyczerpaną wytrwałością i pilnością.

Wuj jego był twardym pracodawcą a nasz bohater pokornym i oddanym sługą. W końcu wuj zmarł a w nagrodę za długie, wierne wysługi, zostawił Tomlinsonowi większą część swego wielkiego majątku.

Jakkolwiek bystry w interesach, młody człowiek nie był takim sknerą, jak jego krewny.

Przez szereg lat ścisłe studyowanie literatury w zakresie łowów było dlań jedynem wytchnieniem; obecnie mógł urzeczywistnić najgorętsze swe pragnienia i z tych to powodów widzimy go jako dzierżawcę górskiego rewiru, obfitującego w jelenie.

Otóż, między wszystkiemi pracami, traktującemi o podchodzeniu jelenia — jedno dzieło zdawało mu się jako ponad niemi wszystkiemi stojące ze względu na jasność, wlewającą zaufanie i na detaliczność szczegółów.

Była to „cała sztuka podchodzenia jelenia“ przez Dougala Mac Dougala Dhu'a. Miał nie zachwianą wiarę w zasługi tej książki. Podchodzenie było tak wyczerpująco i obszernie opisane, że nawet najbardziej surowy nowicyusz nie mógł nie odnieść skutku, jeżeli tylko postępował wedle podanych w książce wskazówek. Każda możliwa ewentualność była wymienioną a jasno przedstawiony prawidłowy szereg czynności, by z tą ewentualnością się spotkać. Tak przynajmniej sądził Tomlinson.

„Podchodzący jelenia, za wskazówkami leśnego, utraca połowę z przyjemności i satysfakcyi myśliwskiej“ mówi Mac Dougal Dhu. „Wleczesz się po jego śladach, idziesz tam, dokąd cię prowadzi, musisz czynić, to co on, słuchać każdego jego skinienia, i strzelić do zwierza, którego ci wskaże. W rzeczywistości, jesteś jego sługą w każdym względzie. Ci, którzy pragną wydoskonalić się w tej sztuce i wyciągnąć z niej największe zadowolenie, powinni podchodzić jelenia samosób, bez czyjejkolwiek pomocy“. Dlatego pierwszego poranka, w którym Mr. Tomlinson udał się do lasu, zapowiedział starszemu leśnemu, że sam zamierza polować i ze sobą zabierze, prócz strzelby i amunicyi, także flaszeczkę i kanapki.

Leśnemu kazał przyprowadzić chłopaka i kucyka na wzniesienie, z którego można było objąć okiem las. Stamtąd miał im sygnalizować udanie się na miejsce, które miało uwieńczyć skutkiem jego wysiłki.

Po wydaniu tych zarządzeń, Mr. Tomlinson udał się na wspomnione wzniesienie, aby zaś nie zapomnieć jakiego ważnego szczegółu i nie dopuścić się błędu, zabrał ze sobą nieśmiertelny wytwór wielkiego Dougala Mac Dougala Dhu'a.

„Przedewszystkiem, teren należy starannie zbadać przez teleskop“ mówi autor, a jeżeli to możliwe, do podchodzenia należy wybrać najgrubszego byka.

Teren, na którym znajdują się złomy i bloki skalne, musi być bardzo ściśle zbadany, gdyż częstokroć jedyną, widzialną częścią jelenia, są końce jego rogów“.

Odległy koniec łańcucha pagórków, który się otwierał przed Tomlinsonem, był właśnie podobny do opisanego terenu. Cała zbocz wzgórza była pokrytą masą skał.

Pas około stujardowej szerokości, poza strumykiem, który płynął dołem, był żyźniejszy.

Tu rosły stare sosny. Wierzchy ich były żłobkowane i nierówne, gdyż drzewa te na jałowym gruncie musiały walczyć o byt.

Tu i ówdzie rosła samotna sosna, znacznie oddalona od swych towarzyszek.

Niektóre z nich zaumarły wskutek starości, niektórym brakowało kory i mniejszych gałęzi, lecz ich żywiczna natura i silne włókna jeszcze opierały się niepogodzie, a ciemny ich, wyschły wygląd świadczył wymownie o długotrwałych zapasach z żywiołami.

Wiele okazów jelenich widział Tomlinson, lecz wykonując przepisy Mac Dougal Dhu'a co do litery, skierował swe szkła na skalistą powierzchnię, wyżej opisaną. Długi czas nie mógł odkryć ani cienia jelenia, lecz przez uporczywe wpatrywanie się dostrzegł wreszcie jednego.

Był to pojedynczy jeleń, widocznie leżący tuż przy złomie skalnym, gdyż tylko końce jego rogów były ponad blokiem widoczne.

Tomlinsonowi zdawało się, że zwierz był kapitalny, gdyż rogi jego kończyły się obfitym wieńcem, a szerokość ich zdawała się fenomenalna. Po takiego warto pójść! „Cudowny człowiek, ten Dougal Mac Dougal Dhu“ szepnął Tomlinson zsuwając teleskop.

„Gdyś się już zdecydował podejść daleko leżącego jelenia, zdążaj doń jak najrychlej, nie wiesz bowiem czy za chwilę, nie wstanie i nie pomknie“ prawi mentor podchodzenia.

Obecnie stanęły między Tomlinsonem a jego jeleniem dwie głębokie, wąskie i strasznie strome rozpadliny, podczas gdy naokoło nich ciągnął się falisty, trawą porosły szereg pagórków.

Czy miał iść wprost ku jeleniowi, czy też trzymając się pagórków? było pytaniem, które miał rozstrzygnąć.

Poradził się wyroczni, lecz tam nie znalazł na to odpowiedzi. W końcu Tomlinson zdecydował, że prosta droga musi być koniecznie najkrótsza, i konsekwentnie najszybciej prowadząca do celu i odrazu zaczął zstępować w pierwszą rozpadlinę.

Nim doszedł do połowy drugiego brzegu, zaczął trzeźwość swego wnioskowania poddawać wątpliwości. Wejście było strome i uciążliwe. Ogromne zęby skaliste tamowały raz po raz pochód, tak, że niezliczone razy musiał je okrążać.

Gromady małych kamieni wyślizgiwały mu się z pod nóg, wskutek czego potykał się i upadał, od czasu do czasu, raniąc sobie i gniotąc ręce, biodra i kolana. Takie i liczne inne przeszkody utrudniały mu pochód, lecz w końcu, zlany potem, zbity, zgnieciony, pozbawiony tchu, dosiągnął brzegu.

Zatrzymał się chwilę, by odzyskać oddech i zbadać nadwerężone członki, poczem zanurzył się w drugiej rozpadlinie.

Rozpadlinę tę uznał za jeszcze uciążliwszą od pierwszej, lecz z nieustraszoną odwagą i wytrwałością postępował naprzód.

Właśnie gdy Tomlinson dochodził do dna rozpadliny, natknął się na jelenia i kilka łań, zbliżających się powoli skalistą ścieżką. Jeleń był na odległość strzału a z powodu wystającej skalistej ściany, nawet musiał w niej pozostać przez czas dłuższy.

Jeleń był rosły. Myśliwy i zwierzę zobaczyli się równocześnie. Obecnie nasunęło się podchodzącemu pytanie, czy ma strzelić do jelenia i zaryzykować spłoszenie się tamtego, którego podchodził? Tomlinson był zupełnie niezdolny do rozstrzygnięcia tej kwestyi, lecz naraz postanowił zasięgnąć rady mądrego Mac Dougal Dhu'a. Wyciągnąwszy książkę, zaczął okiem przebiegać spis. Nic w nim nie wskazywało na taki specyalny wypadek, lecz było możebnem, że któryś ustęp w książce mówił o nim. Zwrócił się więc do treści i zaczął ją przebiegać, lecz nic z niej nie mówiło o trudnym wypadku. Tymczasem jednak problem został rozwiązany. Jeleń, nie mając widocznie respektu dla łowca, znikł.

„Dziwne“ mruknął Tomlinson, „że Mac Dongal zaniedbał zanotowania tak ważnego momentu“.

Musimy tu pominąć milczeniem dalsze trudności, niebezpieczeństwa i krwawe spotkania z ostrokańczastemi skałami i kamieniami, które po bohatersku przeszedł Tomlinson.

Wystarczy powiedzieć, że przybył wreszcie, wprawdzie nie cało, ale pełen przedsmaku spodziewanych wrażeń sto jardów przed skałę, za którą leżał monarcha gór. Ostrożnie — ale jak ostrożnie posuwał się teraz, uważając, by nawet jeden, jedyny kamień usunięciem się nie zdradził olbrzymiemu jeleniowi strasznego, grożącego mu niebezpieczeństwa.

W końcu Tomlinson przykucnął za skałą, która zakrywała szlachetne zwierzę.

Tu spoczął, by zaczerpnąć oddechu i zahartować nerwy na rozstrzygającą chwilę. W wyobraźni swej szkicował masywny korpus i gałęziste wieńce, których tylko końce widział, lecz nie ośmielił się rzucić nawet przelotnego spojrzenia poza skałę, dopóki nie uczuł, że może fatalną kulę — bez obawy pudła — wysłać, by spełniła swą niszczącą misyę.

W końcu, odzyskawszy oddech i wzmocniwszy nerwy, wyjął strzelbę z futerału, odwiódł kurki i gotów na każdy wypadek, ostrożnie wyjrzał poza krawędź skały, pewny, że jeleń znajdował się za nią najwyżej w odległości stu jardów.

Zaledwie jednak rzucił okiem na ten nowy widok, nieopisane rozczarowanie i najwyższa konsternacya odbiła się na jego twarzy.

Gdzież się podział ten rogal, którego odmalowywał tak żywemi farbami w swej wyobraźni?

Gdzie olbrzymi korpus i rozgałęzione wieńce o niebywałej rozpiętości?

Jakżeż, naturalnie że tu, nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków od niego. Z pniem w zagłębieniu sterczała ciemna, sucha, jakby urągająca stara sosna, od wielu lat zaumarła, obnażona zupełnie z kory, o wierzchołku, którego gałęzie sterane przez niepogodę a wysterczające ponad skałę, uważał Tomlinson za rozpięte wieńce olbrzymiego jelenia. I rzeczywiście, gałęzie te bardzo przypominały rogi.

Gdy odkrycie to rozjaśniło umysł Tomlinsona, pozostał przez chwilę odurzony i jakby rażony piorunem. I nawet nie przyszło mu w tej chwili na myśl, poradzić się wielkiego Mac Dougala, co należy przedsięwziąć w podobnym wypadku.

„A więc to jest jeleń“ zamruczał, odzyskując wstrząśnięte zmysły. Dobrze zatem. Strzelę doń na każdy wypadek.

I strzelił.

Korespondencye.

Gołogóry, 19. października 1904.

W dniu 18. października b. r. odbyło się polowanie w rewirze Nowosieleckim, własności Zgromadzenia SS. Opatrzności we Lwowie, w 11 strzelb, pod kierownictwem zarządcy lasowego p. Kazimierza Ożgi.

Na rozkładzie było 65 zajęcy, 2 lisy i 2 słonek.

Od lat z górą trzydziestu znam ten rewir, a na żadnem polowaniu nie zabito tyle zwierzyny. Od lat dopiero kilku dozór i oszczędzanie zwierzyny, pielęgnacya a nadto ściganie kłusownika wpłynęły dodatnio na podniesienie zwierzostanu.

Dzień ten spędzony na polowaniu, każdy z uczestników zaliczy do najprzyjemniejszych, a chwile te mamy do zawdzięczenia tylko gospodarzowi polowania. Jest nadzieja, że młody zawiadowca, nie szczędząc sił, gdy w tym kierunku popracuje dalej, to za lat kilka knieja Nowosielecka należeć będzie do najlepszych w powiecie.

Tadeusz Dzięciołowski
delegat złoczowski.

Polowanie w Psarach.

W dobrach Wilmy hr. Reyowej odbyło się dnia 22. b. m. malutkie polowanie, bo tylko w 6 strzelb, prowadzone znakomicie przez Mikołaja hr. Reya — świeżo wybranego wice-marszałka w Pilźnie — z czego wnosić należy, że w powiecie pilzneńskim jako wice-marszałek również wzorowy porządek zaprowadzi — a co najmniej o drogach pamiętać będzie — bo do Psar zapewne tylko wskutek dróg niemożliwych tak mało przybyło Panów na polowanie. O grozo! nawet marszałek tutejszy dojechać nie mógł...

Polowanie wypadło doskonale. Na rozkładzie bowiem było zajęcy 27, rogaczy 8, w tem dwa śliczne kümmerery, 11 bażantów, (niestety 1 kura) i 1 lis.

Podobno polowanie na lisy nazywają „królewskie", otóż i ten biedny lisiura padł z ręki „ministra", znakomitego myśliwego. — Nie obyło się też bez ciekawych zdarzeń — między innemi po staropolskiem, obfitem śniadaniu, w jednym z miotów po nad głową jednego z myśliwych przeciągnęło 40 sztuk bażantów — sąsiad jego z całą dokładnością statystyczną liczył, — ten zaś uważając to jako herezyę, ostatecznie wybiera najsilniejszego koguta i strzela. — Śliczny to był kogut — ale niestety nie odszukaliśmy go — drugiemu zaś z Panów mniej szczęśliwie się powiodło — bo kiedy na wsze strony fruwały bażanty — ten składa się również do najpokaźniejszego — wtem jego sąsiad, gospodarz polowania, krzyczy: „kura". W tej chwili pada strzał i rozumie się, z dymem bardzo ładna kureczka, którą na szczęście znaleziono. — Tłumaczył się tem, że sąsiad krzyknął „kura" i dlatego strzelił, co mu na ten raz przebaczono.

Mówiono, że ten pan bardzo pilnie czyta sprawozdania wojenne Japończyków — wiąc dlatego mylnie sobie tłómaczył „kura".

W lasach psarskich, a dość często opisywanych przez nieodżałowanego ś. p. autora „Gwiazdy Syberyi" jest świetny, stan zwierzyny — szczególniej co do sarn i bażantów — które są dziko prowadzone z bardzo dodatnim skutkiem; — Pani domu brała również udział w polowaniu jako widz — przynosząc zawsze szczęście każdemu, przy kim stanęła na placówce. Zapowiedziano nam łaskawie drugie polowanie na wigilię, z czego już od dziś jest nie mała radość.

Wiluń, 23 października 1904.

Agenor Łobodziński.

Lwów, 30 października 1904,

W październiku odbyły się dwa ładne polowania, z których sprawozdanie posyłam. — Dnia 12 i 13 października polowaliśmy w Pieniakach w 9 strzelb. Zabiliśmy 3 dziki, 6 rogaczy, 86 zajęcy, 14 lisów i 62 słonek — słonki były w całej rozległej kniei — wzięliśmy pierwszego dnia 17 miotów. W pierwszym była jedna, w następnych było najmniej 6, a najwięcej 14, słowem, były wszędzie — drugiego dnia było ich znacznie mniej. W innych rewirach zabiliśmy 14.

Drugie polowanie, mające reputacyę dobrego słonczego polowania, zawiodło co do słonek w Sokołowie u p. Stanisława Matkowskiego; — zabiliśmy na dwukrotnem polowaniu w 8 strzelb kozłów 6, wyder przed pogonką 2, lisów 3, zajęcy 78, słonek 15, bażantów 45, kuropatw 6, razem sztuk 155. *Teofil Żurowski.*

Makuniów 1. listopada.

(Wiosenny ciąg słonek, stan sarn, kuropatw i zajęcy, przepiórki, ptactwo błotne, jesienny ciąg słonek, wykaz ubitej zwierzyny).

Rok bieżący był unikatem pod względem atmosferycznym i jako taki sprawił niejedną niespodziankę myśliwym.

Wiosenny ciąg słonek był w naszych stronach tak obfity, że przeszedł najśmielsze marzenia myśliwych! Pierwsze słonki spotykaliśmy już po 20 marca a kulminacyjnego doszedł punktu między 2 a 8 kwietnia, trwał zaś niemal do końca kwietnia! Niestety, dwojakie w tydzień po sobie następujące święta wielkanocne nie dały wyzyskać tak tych wspaniałych ciągów, jakby to się należało.

Stan sarn w naszej okolicy jest zawsze średni, kuropatw wychowały się bujne stada, tych stad było jednakowoż mniej niż zwykle. Zajęcy u nas zawsze bardzo mało.

Rok ten pierwszy od lat, nie wiem ilu, obfitym był w przepiórki. Zdawało się już, że ptaki te są na wymarciu i za lat kilka będą należały już tylko do przeszłości, ale ciąg ich tegoroczny zadał kłam temu twierdzeniu. Było ich dużo, odleciały jednak tak wcześnie i nagle, że w drugiej połowie września już ani jednej nie spotkałem. Stosunkowo jednak mało się przepiórek zabiło, gdyż z powodu upałów i szalonej posuchy, polowanie z psem legawym po suchych bez najmniejszej wilgoci polach było wprost niemożliwem.

Ptactwa błotnego było z początkiem sezonu nie mało, w pół sierpnia jednak reszta błot wyschła i na największych bagnach, gdzie w zeszłym roku jeszcze pies legawy się zapadał i chodzić nie mógł, tam pasły się setki włościańskich krów i koni!

Na sławnych, dzierżawionych przezemnie burczyckich błotach, gdzie w niektórych miejscach łodzią się jeździło po kilkumetrowej głębinie, tam ja chodziłem w tym roku bezkarnie, nie zamoczywszy się wyżej kostek! Dubeltów było mało, przecież więcej niż zwykle.

Słonki na ciągu jesiennym pojawiły się u nas około 25. września a 30. września pierwsza zabitą została. Między 10. a 15. października ciąg ich był wspaniałym. 13. października w 200 morgowym lasku z 15 chłopcami w 3 strzelby ruszyliśmy ich z górą 30 a zabiliśmy 11. Około

15. ciąg główny się skończył, a pojedyncze słonki spotyka się do tej pory. Ciąg więc słonek jesienny był bardzo obfitym, ale wczesnym i krótkim.

W końcu podaję wykaz zabitej zwierzyny na obszarze moim własnym i przezemnie dzierżawionym, razem około 3000 morgów obszaru, od 1. marca do 31. października b. r. przeciętnie w strzelb 2.

rogaczy . .	12 (na podjazd)
zajęcy . .	12
kuropatw . .	42
przepiórek . .	140
chróścieli . .	15
kszyków . .	68
kaczek dzikich .	6
dubeltów . .	20
słonek . . .	55
kulików . .	10
lisów . . .	3
bocianów . .	15
psów . . .	8
kotów . . .	6
ptactwa drapieżnego	12
Razem . .	424

Albert Mniszek
delegat na pow. mościski.

Szanowna Redakcyo!

Na zapytanie p. Tadeusza Dzięciołowskiego, umieszczone w numerze 20 „Łowca“, do jakich ptaków (szkodliwych, lub pożytecznych) należy zaliczyć bociana, odpowiada w tymże samym numerze „Łowca“ p. dr W. Sołowij twierdzeniem, że bocian nie może być w pojęciu ustawy za nietykalnego uważany.

Do konkluzyi tej dochodzi p. dr W. Sołowij rozumowaniem, iż postanowienia ustawy z 21. grudnia 1894 jak i obecnie obowiązującej ustawy łowieckiej z 5. marca 1897, określające gatunki zwierząt i ptaków jako łownych, są niezupełne, gdyż nie wyliczają wielu gatunków zwierząt i ptaków z pomiędzy pożytecznych i szkodliwych, a między niemi także i bociana. Widzi więc p. dr. W. Sołowij w spisie zwierząt i ptaków szkodliwych lukę, w którą pakuje bez miłosierdzia bociana, odmawiając władzy politycznej prawa stawania w obronie jego pracowitego i twardego żywota.

Otóż mojem zdaniem dojrzana przez p. dr. W. Sołowija w ustawie łowieckiej luka, jest stanowczo za małą dla tak okazałego ptaka, jak bocian i pozwolę sobie twierdzić wprost przeciwnie, że władza polityczna powinna była bezwarunkowo ukarać morderców bociana w osobach pp. Wiktora Dzięciołowskiego i Jasińskiego.

P. dr. W. Sołowij powołuje się na ustawę z 21. grudnia 1874 chroniącą zwierzęta i ptaki dla uprawy ziemi, pożyteczne. Zdaje mi się, że ustawa, wprowadzająca obowiązującą dziś ustawę łowiecką z dnia 5. marca 1897, postanawiająca w artykule I., że: z chwilą wejścia w życie ustawy łowieckiej tracą moc obowiązującą dotychczasowe ustawy i rozporządzenia, o d n o s z ą c e s i ę d o p r z e d m i o t u n i n i e j s z e j u s t a w y, że ustawa ta zniosła ustawę z 21. grudnia 1874, wobec czego o kwestyi przez p. Tadeusza Dzięciołowskiego podniesionej, decydują dziś jedynie i wyłącznie tylko postanowienia ustawy łowieckiej z dnia 5 marca 1897.

Ustawa łowiecka w §. 2. mówi o zwierzynie ł o w n e j w przeciwstawieniu do zwierzyny nie łownej. Pod zwierzyną łowną zaś rozumieć należy zwierzynę, będącą przedmiotem właściwego, wedle sztuki łowieckiej i reguł myśliwskich wykonywanego polowania, czy to dla samej tylko przyjemności, czy też dla pożytku z zabitej zwierzyny w postaci mięsa, skóry, rogów i t. p. Nie jest to więc podział, o jaki nam w obecnym wypadku chodzi, mianowicie o podział na zwierzęta i ptaki szkodliwe i pożyteczne. Decydującym pod tym względem jest wyłącznie postanowienie, zawarte w §. 46. ust. łowieckiej, gdyż tu dopiero wylicza prawodawca w pierwszym ustępie zwierzęta bezwzględnie szkodliwe, jako to: niedźwiedzie, wilki, rysie, żbiki, dziki i lisy, w drugim ustępie zaś zwierzęta względnie szkodliwe, które m o g ą być zabijane. Jeżeli więc ustawa wylicza kategorycznie a nie przykładowo zwierzęta, które zabijać wolno, a contrario wszystkich zwierząt tamże nie wymienionych zabijać nie wolno, a więc ani bociana, ani wrony, ani wróbla, (czapla i gawron wymienione są w ustawie 2. §. 46.)

Na twierdzenie p. dra W. Sołowija, że ustawa pozostawia indywidualnemu uznaniu, czy ktoś bociana chce lub nie chce strzelać, żadną miarą pisać się nie mogę, gdyż ustawa jest właśnie na to, ażeby wykluczyć wszelką dowolność i indywidualne uznanie. Do takiej doskonałości jeszcześmy nie doszli i jak długo nazywać się będziemy ludźmi, zdaje mi się, nie dojdziemy.

Jeżeli zabrałem głos w kwestyi przez p. Dzięciołowskiego poruszonej, za co — nawiasem mówiąc — bardzo mu jestem wdzięczny, — to uczyniłem to nie w celu sprzeczania się o paragrafy, która to walka prawdziwemu myśliwemu bynajmniej nie przystoi, lecz dla zaznaczenia, że nawet już nie jako naturalista, lecz jako Słowianin i konserwatysta na polu obyczajów i wierzeń narodowych, jestem absolutnym przeciwnikiem niszczenia bociana.

Wyzywam też każdego przeciwnika tego mego zapatrywania na bój śmiertelny, na ziemi udeptanej, czy nie udeptanej, konno, czy pieszo, mieczem, czy kopią ...w postaci ...pióra.

Stary Sontagsjäger:

KRONIKA.

Cesarz Franciszek Józef mimo sędziwego wieku jest jeszcze zawsze zapalonym myśliwym. W roku bieżącym 1. lipca zjechał do Ischlu a już 2-giego dnia popołudniu przybył powozem do Ebensee, gdzie mu bardzo silnego jelenia zapowiedziano. Zaledwie zasiadł dostojny łowiec na przesmyku, przez który jeleń zwykł przechodzić, gdy szlachetny zwierz okazał mu się w odległości 100 kroków, a otrzymawszy celną kulę, runął w ogniu, lecz w tej chwili napowrót zerwał się na nogi, na to jednak tylko, by po drugiej równie celnej kuli cesarza runąć już martwym. Był to wspaniały dziesiątak.

W 3 dni później zabił cesarz 2, a 9. lipca 5 bardzo silnych jeleni, z których jeden 12-tak jest jednym z najgrubszych byków, jakie cesarz w swojem, bogatem, w myśliwskie epizody życiu położył.

Sędziwy łowiec polował w bardzo trudnym terenie, w którym powozu używać nie mógł, a drogę przebywał po największej części konno i doskonale znosił trudy tych wycieczek, a oko i ręka nie zawodzą go widocznie, gdyż strzelał jak zawsze, celnie i spokojnie.

Wskrzeszenie sokolnictwa w Niemczech. Tak jak w całej zachodniej Europie, tak i w Niemczech budzi się szlachetna sztuka sokolnictwa z wiekowego letargu. Zawiązało się tam towarzystwo miłośników łowów sokolich z siedzibą w Berlinie, pod przewodnictwem księcia Stolberg-Wernigerode.

Sprowadzono tam już biegłych sokolników z sokołami z Anglii i odbywają się codziennie polowania na króliki, wrony, czaple, żórawie, zające i sarny w najbliższych okolicach stolicy. Kandydaci na domorosłych sokolników wprawiają się w swym zawodzie pod okiem angielskich mistrzów, a towarzystwo miłośników sokolich łowów zyskuje coraz liczniejszych adeptów.

Sprostowanie. W numerze 20. „Łowca“ z dnia 16. b. m. w dziale ogłoszeń znalazł się przedruk naszego listu z dn. 19. września br. L. 589 f., którym to listem donieśliśmy p. B. Jankowskiemu, rusznikarzowi we Lwowie o wyszczególnieniu go dyplomem honorowym przez Sąd wystawowy Krajowej wystawy wyrobów metalowych w Krakowie. W liście tym znajdował się następujący ustęp:

W „jury“ brał także udział dyrektor nasz, poczytując sobie za szczególny obowiązek występować w obronie uprawnionych, słusznych interesów lwowskich i zachodnio-galicyjskich wystawców.

Otóż zastrzegamy się najsolenniej przeciw ewentualnemu interpretowaniu powyższej naszej enuncyacyi w ten sposób, jakobyśmy podawali w jakąkolwiek wątpliwość, bezstronność i sumienność Sądu wystawowego, zasługującego w każdym względzie na zupełną ufność i szczere uznanie.

We Lwowie dnia 30 października 1904.

Centralny Związek galicyjskiego przemysłu fabrycznego.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**